

PRACA

nad sobą

APERIODYK MARIAWICKI

Zeszyt 66

Kraków, maj 2012 r.

150. urodziny Mateczki

Gdy w roku 1962 obchodziliśmy setne urodziny Mateczki, nie sposób było uczcić tej rocznicy w należyty sposób. Nie łatwe było wydanie - zwłaszcza mniejszym wyznaniom religijnym - książki, broszury, czy nawet ulotki religijnej. Nie łatwo było zorganizować sesję teologiczną, krótkie seminarium, czy choćby prosty zjazd wiernych bez wtrącania się politycznych władz w jego treści. Ponadto, choć to się może dziś wydawać dziwne, mariawici, przynajmniej w Polsce, trwali jeszcze wciąż w traumie po śmierci Mateczki i zamiast w miarę ówczesnych możliwości szerzyć choć w wąskim otoczeniu z odwagą i radością Dzieło Miłosierdzia, myśleli smutni, co tu robić, gdy brakuje Jej kierownictwa. To też 50. rocznica Jej śmierci, przypadająca

dziesięć lat później, obchodzona była bardziej uroczyście nie tylko dlatego, że nieco się rozluźniły więzy polityczne. Mariawitom łatwiej było z nostalgią wspominać przeszłość. Ukazała się wtedy pierwsza po wojnie mariawicka książka poświęcona Mateczce, jej Dziełu, świetlistej mariawickiej przeszłości¹. Dziś marazm i mariawicka tęsknota za przeszłością, choć stale w niej trwają jeszcze pewne grupy polskich uczestników Dzieła Miłosierdzia, a nawet niektórzy wyżsi duchowni, coraz częściej się przekształca w pozytywne działanie, a przynajmniej w chęć takiego działania. To też 150 rocznica urodzin naszej świętej Założycielki jest obchodzona w znacznie radośniejszym nastroju. Gdy oddajemy ten zeszyt do druku wiemy o mających się ukazać pełnych treści książkach, o przygotowywanych uroczystych zjazdach, odczytach i nabożeństwach, zaś (ekumeniczne) Zgromadzenie Marjawitów pierwsze formalne sukcesy w świecie, zaistniałe właśnie w tym jubileuszowym roku, traktuje jako urodzinowy poczęstunek przygotowany przez Mateczkę. Więc w okresie poprzedzającym dzień Jej Urodzin - 27 maja - zlewający się w tym właśnie roku z uroczystością Ześlania Ducha Świętego, członkowie Zgromadzenia modlą się wspólnymi słowami modlitwy o dalsze rozprzestrzenienie Dzieła Wielkiego Miłosierdzia danego nie dla jednego Kościoła, ani jednego narodu, ale dla całego świata.

* * *

Marazm po śmierci Mateczki przypomina ów czas, gdy Apostołowie po śmierci Chrystusa widywali wprawdzie Zmartwychwstałego swojego Mistrza, wiedzieli również jakie jest ich powołanie, co mają robić, ale brakowało im siły i wiedzy **w jaki sposób** mają to powołanie wykonywać. Tylko u apostołów był to okres kilkudziesięciu dni, u mariawitów

ciągnął się prawie przez stulecie. Warto się zastanowić skąd się to wzięło.

Apostołowie obcując z Chrystusem noszącym ludzkie ciało, wiedzieli - choćby z wyznań świętego Piotra (Mateusz 16:16) i świętej Marty (Jan 11:27) - że jest Synem Bożym ale mimo woli przede wszystkim przeżywali jego obecność jako wspaniałego człowieka, który ich pouczał o wszystkim, dawał polecenia, prostował błędne mniemania. To było łatwe. Wystarczyło patrzeć na Niego, słuchać fizycznym uchem Jego słów. Mimo, że zapowiedział im swoją ofiarę, nie wyobrażali sobie, że to będzie prawdziwa ludzka śmierć. Przerazili się. Szok trwał nawet potem, gdy się im ukazywał zmartwychwstały. Nie potrafili się go radzić, pytać zwyczajnie, jak dawniej. Z marazmu wybawiło ich zielonoświątkowe duchowe przeżycie Pocieszyciela - Ducha Świętego. Zrozumieli, że impuls i wiedzę do skutecznego działania można czerpać wprost ze świata duchowego, że oprócz zmysłów fizycznych każdy z nas ma wyższe zmysły. Każdy ma dostęp do wewnętrznego głosu, który go wystarczająco potrafi pouczyć co ma robić, odpowiednio do jego powołania, do jego roli w rozwoju świata. Zarówno, gdy to powołanie jest wielkie, apostołskie, jak i wtedy gdy dotyczy tylko właściwych działań w rodzinie, w rzemiośle...

Z mariawitami było nieco inaczej. Właśnie wewnętrznie odczuwali, że Kościół potrzebuje impulsu do oczyszczenia i rozwoju. Późniejszy Pierwszy Mariawita, ksiądz Strumiłło modlił się przeciw świadomości o taki impuls (*Pierwotny tekst*, akapit 1). Takiego impulsu oczekiwali i inni, ale nie potrafili go znaleźć samodzielnie w świecie duchowym. Nie zależnie od tego, w jaki sposób w doktrynalnym sformułowaniu ujmujemy tę sprawę, rozumiemy, że przez Mateczkę działał bezpośrednio Duch Święty oznajmiając o nadchodzącym końcu kulturowej epoki

(czasach ostatecznych) i co potrzeba Kościołowi i światu, aby mógł uniknąć najgorszych skutków styku dwu różnych epok. Ona była Pocieszycielką mariawitów, Pocieszycielką w ciele fizycznym.

Tak jak uczniowie Chrystusa nie potrafili z początku uwierzyć, że on naprawdę umarł, tak uczniowie Mateczki nie potrafili się pogodzić z Jej fizyczną śmiercią. Dowiedzieli się od Niej, jakie jest ich powołanie, ale większość nie wiedziała jak je mają wykonywać w stale zmieniającym się świecie. W ciągu kilkunastu lat od śmierci Mateczki powstały różnice poglądów. Przestraszano się nowości. Ludzie małej wiary postanowili wrócić do punktu wyjścia. Ale to z kolei wywołało wątpliwości co ma być tym punktem. Ortodoksja rzymska z czasów odtrącenia mariawitów przez Watykan uległa też ewolucji, choć wolniejszej. Co więc robić iść naprzód, czy się cofać? Nastrój marazmu oddaje znakomicie psalm mariawicki ułożony po śmierci Mateczki. Jeden z jego fragmentów brzmi na przykład: *„Duchu Przenajświętszy [...] pociesz nas po odejściu Oblubienicy i błogostaw łzom, które ustawicznie z żalu za grzechy nasze i z miłości wylewamy”*². Nastrój tego utworu, skądinąd dobrze oddającego chwilowy żałobny smutek, trwał nazbyt długo wśród mariawitów. Łatwiej było wylewać łzy z żalu za Mateczką niż radośnie działać według pozostawionych przez nią wskazówek. Od aresztowania przez Gestapo w roku 1940 ostatniego przywódcy chcących działać i od chwili jego męczeńskiej śmierci, mariawici zamknęli się w swoich wewnętrznych wątpliwościach i sporach. Próby ich misyjnych działań wobec świata stały się bardzo nieśmiałe. Dobrze, że ten stan duchowego paraliżu mija - przynajmniej w znaczących ośrodkach mariawityzmu.

* * *

Jakie powinny być pierwsze, najważniejsze działania dla dalszego rozwoju mariawityzmu?

Przede wszystkim należy wzmocnić podstawę Dzieła Wielkiego Miłosierdzia, nie nową mariawicką, ale istniejącą w tradycji Kościoła Powszechnego: cześć Eucharystii. Nie wolno tu poprzestawać tylko na częstym przyjmowaniu Komunii Świętej i na tradycyjnych, indywidualnych lub wspólnych godzinnych adoracjach. Należy poważnie przyjąć wypowiedź Mateczki: *„Istotę Nieustającej Adoracji Ublągania stanowi ciągłe, o ile być może, jednoczenie umysłu swego i serca z Ofiarą błagalną, jaką jest Pan Jezus Utajony w Eucharystii”* (Dzieło miłosierdzia s.433). Ileż niezrealizowanych dotąd form adoracyjnych może powstać na podstawie tych słów! A powiedziane jest przecież, że ci, co przyjmą na siebie trud ubłagania przez eucharystyczną adorację *„zostawać będą pod opieką Matki Boskiej Nieustającej pomocy,...”* (Początek zawiązku, akapit 3)³.

Tylko na tym niezmiennym fundamencie Kościoła można budować to co wydaje się w mariawityzmie nowe, a co w większości też nie jest nowe, co istniało już we wczesnych epokach Kościoła, a co później wydało się chrześcijanom niepotrzebne, a nawet szkodzące autorytetowi i mocy kościelnej władzy. Takimi ideami do których powołany jest mariawityzm, jest zrozumienie, że kapłani nie stanowią odrębnego stanu, że chrześcijańskich nabożeństw nie odprawia jeden człowiek dla innych lecz, że uczestnicy odprawiają je wspólnie pod kierunkiem jednego kapłana - przewodniczącego. Że kapłani nie mogą sobie rościć praw do rozkazywania wiernym, lecz tylko im służyć, że wśród chrześcijan nie można wyróżniać ras, narodowości, płci i wiele, wiele innych rzeczy zapomnianych w kościele. Trzeba tu gruntownie wniknąć w całość objawień Dzieła Wielkiego

Miłosierdzia, wielkiej Akcji Bożej dla ratunku obecnej ludzkości.

A dopiero realizacja tych wszystkich zaleceń pozwoli w pełni dokonać tego, co jest nowością w Kościele, co może być zrealizowane dopiero w obecnym okresie ewolucji dusz ludzkich, co jest najważniejszym mariawickim wezwaniem. Jest to świadomość i wyciągnięcie wniosków z faktu, że wewnętrzny rozwój, nazywany przez jednych rozwojem duchowym, przez innych - mistycznym, nie jest dziś zarezerwowany dla jednostek odgradzonych od społeczeństwa murami kontemplacyjnych klasztorów, lecz nie tylko może, ale powinien stać się dążeniem wszystkich chrześcijan, aby naśladując życie Matki Boskiej, Marii z Nazaretu potrafili, jak ona być zewnątrz z zwykłym człowiekiem, być z ludźmi weselącymi się, jak Ona na weselu w Kanie Galilejskiej, oraz z płaczącymi jak była podczas Drogi Krzyżowej, aby wypełniali swoje obowiązki wobec świata tak, jak Ona wypełniała swoje, należące do zwykłych zajęć, gospodyni domu, żony i matki. A przy tym wszystkim rozwijali w sobie, wszystkimi siłami świętość. Nie bójmy się słowa „Świętość”. Mariawityzm, to naśladowanie życia Maryi (Po łacinie *Mariae Vita*). Zewnętrzna zwyczajność - wewnętrzna świętość.

Po Maryi pierwsza przebyła tę drogę w dzisiejszych czasach i wskazała ją nam święta Maria Franciszka Kozłowska - nasza Mateczka

brat Paweł

¹ *Z dziejów Królestwa* - praca zbiorowa - Felicjanów 1972

² *Duch Pocieszyciel, Psalterz Ducha Przenajświętszego, Psalm 23* - wydanie trzecie - Felicjanów 1976 - s.83

³ Jest rzeczą dyskusyjną, czy Objawienie tylko upewnia o Nieustającej Pomocy Maryi nad mariawitami, czy też zaleca wzywanie tej pomocy. Nie chcąc tym miejscu wypowiadać się po żadnej stronie pragnę stwierdzić, że wprawdzie Mateczka Pisze, że pierwsi mariawici „*Szerzenie czci [...] Matki Boskiej Nieustającej Pomocy uważali za główny swój obowiązek*” (*Początek Zawiązku*, akapit 36), ale jest to tylko stwierdzenie, że pierwsi mariawici - zgodnie z wielowiekową tradycją katolicką - tak uważali i że nie jest to sprzeczne z mariawityzmem, ale

nigdzie Mateczka nie zapisała, że Objawienie tego wymaga. To rozróżnienie ma znaczenie przy pewnych poczynaniach misyjnych.



Intronizacja Pana Jezusa na tronie polskim?

Od dawna słyszałem o tym, że jest jakaś grupa domagająca się intronizacji Jezusa na Króla Polski. Słyszałem, że jakoś tam ich sprawa łączy się z zasuspendowanym księdzem profesorem Natankiem, ale umieszczę w myślach ich działalność w Kościele Rzymskokatolickim i uważałem, że to nie nasza rzecz, co się w tym Kościele dzieje. Wiadomo, że moi rodacy wolą manifestować, niż pracować. Ot na przykład zamiast po obaleniu komunizmu przeprowadzić podstawową ewangelizację Polaków, zorganizowali akcje wieszania krucyfiksów w urzędach. Ludzi do Boga to nie przybliżyło, ale szumu było około tego sporo. W czasach gdy komunikacja kolejowa królowała nad innymi przewozami, a pociągi były ciągnięte przez parowozy, o tego rodzaju bezowocnych ale spektakularnych działaniach mówiono obrazowo „cała para poszła w gwizdek”. Myślałem, więc, że i tu się nabierało pary, a że jej pożyteczne wykorzystanie wymagałoby wysiłku, więc pomyślano o nowym gwizdku.

W samym pomysle nie widziałem zresztą niczego złego. Jeśli Matka Boska mogła być ogłoszona Królową Polski, to Jej Syn może zostać ogłoszony Królem. Sam jako mariawita obchodzę - wśród innych świąt - w trzeci czwartek kwietnia uroczystość Przyjścia Królestwa Bożego, które wprawdzie jest nie z tego świata, ale już zaistniało w zaczątku na tym świecie w sercach wiernych¹. To święto wprowadzone w mariawityzmie w roku 1920 przypomina nam o prośbie Modlitwy Pańskiej „*Przyjdź Królestwo Twoje*” (Mateusz 6:10)). Nasza idea znalazła szybko naśladowcę i niedługo, już w roku 1925 Kościół Rzymski wprowadził - pierwotnie w październiku - święto Chrystusa Króla, - o podobnej treści. Zastanawiało mnie tylko po co teraz ponowna intronizacja?

Ale niedawno dostałem dwie broszury² rozjaśniające mi tę sprawę i wskazujące, że tkwiłem w podstawowym błędzie. Akcja nie jest akcją Kościoła Rzymskokatolickiego. Organizatorzy akcji, choć uważają się za rzymskich katolików krytykują nie tylko ogólnie rzymskokatolicki episkopat w Polsce, a imiennie kardynała Dziwisza, ale nawet tak uwielbianego przez innych Jana Pawła II. Ponadto chwalą lefebrystów za krytykę tego, co się dzieje w Kościele Rzymskim od czasów papieża Jana XXIII. Choć formalnie się nie określają, jako zwolennicy biskupa Lefebvre'a, to jednak wraz z jego zwolennikami uznają za niegodziwe najważniejsze uchwały II soboru watykańskiego. Są wrogami ekumenizmu i uznawania wolności sumienia. Wraz z lefebrystami modlą się o „nawrócenie” papieżstwa na przedsoborowy katolicyzm. Oczekują, że ich krajowe cele zostaną spełnione gdy tylko ich modlitwy wywołają owo nawrócenie.

Gdyby tylko snuli takie rozważania teoretyczne, i spokojnie się modlili o swoje cele, powiedziałbym: oszołomy! I przestałbym o nich myśleć. Ale zmroziło mnie, gdy w artykule księdza Kiersztyna wyczytałem taki oto tekst dotyczący inkwizycji i jej metod: *Jeśli w walce z Saracenami czy z Turkami nie przebierano we środkach, mordując setki tysięcy ludzi i paląc ogniem wielkie połacie ziemi wraz z osadami i miastami, to nikt nie podważa słuszności tych działań. Jeśli więc w walce o wiele bardziej bezwzględnej i straszniejszej, bo duchowej, prowadzonej w obronie narodów chrześcijańskich skazano na śmierć ludzi walczących po stronie lucyfera, to współcześni tryumfatorzy nowego porządku świata nie znajdują dla tych działań granic potępienia³.* Nie byłoby sensu zapełniać stronice „Pracy nad sobą” wieloma dalszymi, podobnymi0 cytatami z tych broszur, pisać wnikliwe recenzje z takich „dzieł”. Przytoczę jeszcze tylko jedno zdanie, niewinnie brzmiące ale wyjawiające podstawę zbroczenia religijnego tej grupy: *Zrozumienie faktu, że Bóg nie traktuje ludzkości jako zbioru jednostek, ale jako zbiór społeczności określony wspólnotą narodową, lokalną i rodzinną jest bardzo ważne, by zrozumieć odpowiedzialność za daną*

społeczność ludzi stojących na jej czele ⁴. Pomińmy konstrukcję logiczną, że 'zrozumienie jest ważne, by zrozumieć', co w tym przypadku znaczy 'przyjmij aby przyjąć'. Jest to zdanie wprost przeciwne chrześcijaństwu gdzie naśladowcy Dobrego Pasterza mają się troszczyć nie o całe stada (społeczności) ale właśnie o pojedyncze zagubione owce (jednostki). Jest ono sprzeczne już nawet z poprzedniczką ideą chrześcijańskich, nauką starożytnego Narodu Wybranego. W czasie, kiedy cały świat, podobnie jak dziś jeszcze ksiądz Kiersztyn, interesował się głównie zachowaniami grup ludzkich, Boży prorocy już usiłowali pouczyć naród izraelski, że stosowanie odpowiedzialności zbiorowej jest moralnym błędem, że Bóg nie sądzi rodzin ani ludzkich grup ale każdego człowieka oddzielnie. Temu zagadnieniu jest przeciwieństwo poświęcony cały rozdział 18 Księgi Ezechiela. Wartość jednostki ludzkiej jest nieskończona ⁵. Matematycznych nieskończoności nie można dodawać do siebie. Wskutek tego - ledwo świtającego i nie zawsze stosownego w starożytnym Izraelu - szacunku dla jednostki ludzkiej, od czasu objęcia we władanie przez Izraela Ziemi Świętej spisy ludności były uważane za ciężki występki (2 Samuela 24:3 i następne).

Tak więc zwolennicy nowej intronizacji Jezusa opierają się na pradawnej moralności kwitnącej w czasach zanim się uformował Naród Wybrany, a więc na moralności czysto pogańskiej. Nie dziwilibyśmy się jeszcze tak bardzo, gdyby usprawiedliwiali zbrodnie krzyżowców panującym wśród ówczesnego rycerstwa analfabetyzmem i prymitywizmem religijnym. Ale oni zwracają się do tych, wśród których „*nikt nie podważa słuszności*” tych zbrodniczych działań. Ich to właśnie pragną organizować, jako rzekomą gwardię Chrystusa. W broszurach możemy przeczytać pochwały dla historycznego zmuszania poddanych do przyjęcia chrztu lub zwierzchnictwa papieża. Czytamy propozycje, aby współczesne rządy Państw działały podobnie.

Chrystusowi poszczącemu na pustyni szatan zaproponował szybkie zwycięstwo nad wszystkimi królestwami

świata. Chrystus miałby tylko uznać jego metody siłą wymuszanego podporządkowania sobie narodów. On przyjął to jako propozycję złożenia przez siebie pokłonu szatanowi „i rzekł: idź precz szatanie” (Mateusz 4:10). Syn Boży nie pragnie przymusowych czcicieli ani niewolników. Pragnie dobrowolnych współpracowników i rozwoju ludzkiej miłości.

Stale pojawiają się na świecie ideolodzy pragnący w imię fałszywych bogów organizować zwolenników działania spotecznych opartych nie po chrześcijańsku, na wartościach samodzielnych jednostek ludzkich, ale jak w czasach powszechnego pogaństwa, na cechach klas społecznych, narodowości lub ras i stosować wobec nich odpowiedzialność zbiorową. Niektórzy z nich działając w imię swych bogów uzyskali władzę polityczną. Powstawali i powstają nadal stalinowie, hitlerzy, kimowie, pol-potowie...

Przeraża, że w Polsce, która dopiero co przeżyła aż dwa nieludzkie systemy zdotała się zorganizować wprawdzie niewielka ale bynajmniej nie znikoma, a przy tym agresywna grupa, ośmielająca się do swych celów sprytnie wykorzystywać - jak wynika z przeczytanych broszur - nie tylko powstałe w innym etapie historii wizje błogostawionej Anny Katarzyny Emmerich i Rozalii Celakówny ale i Imię Jezusa.

Tego nie można skwitować tylko uśmiechem, bo jeśli takim jak oni udato by się w imię jakiegoś „Gott mit uns”⁶ zwieść Polskę... ?

St. F.

¹ Przy okazji uwaga: od parudziesięciu lat nie znajduję zaznaczenia tego święta w kalendarzu Kościoła Starokatolickiego Mariawitów. Nigdy nie była ogłoszona decyzja o jego zniesieniu. Kapłani odprawiają co roku przeznaczoną w Mszałe Eucharystycznym a ten dzień Mszę Świętą. Dlatego się zastanawiam, w jaki sposób się zagnieździła ta usterka w kalendarzu. Może raz wypadło to święto w Wielki Czwartek i ustąpiło świętu ruchomemu, a potem przepisywano kolejne kalendarze z poprzednich lat i tak już zostało? Warto to przy okazji wyjaśnić.

² ks. Tadeusz Kiersztyn, Andrzej Falaga i Ewa Wieczorek - *Intronizacja, Polsko, Twój Król Nadchodzi* - Kraków, 2005, oraz ks. Tadeusz Kiersztyn - *Czas Króla* - Kraków, 2010.

³ Pierwsza z wymienionych wyżej książek s. 30.

⁴ Druga z wymienionych wyżej książek s. 9.

⁵ „Kto ratuje jedno życie, ratuje cały świat” - maksyma wypisana na medalu Jad Waszem.

⁶ po niemiecku „Bóg z nami” - hasło na pasach żołnierzy hitlerowskich.



„Naukowy dowód” nieistnienia Boga

Jest taki tygodnik w Polsce czytany przez wiele osób, choć mało kto się przyznaje do tego. Nazywa się „Nie”. Ja, grzeszny, przyznaję, że czasem go czytam i bywa, że znajduję w nim coś ciekawego. Niedawno znalazłem tam artykuł Pani AWŁ (domyślam się, że idzie o Panią Agnieszkę Wołk-Łaniewską, jeśli nie - przepraszam) pod tytułem: "Bezbożny prorok" omawiającą poglądy niejakiego Richarda Dawkinsa. To, co tu piszę nie jest próbą korespondencyjnych rekolekcji dla redakcji "NIE", tylko kilkoma komentarzami.

1) Nie ma naukowych dowodów na istnienie Boga. I nie ma dowodów na nieistnienie Boga. Bóg - jeśli istnieje - jest bytem pozamaterialnym, a nauka bada tylko materię, więc udowodnienie nieistnienia Boga za pomocą nauki - co usiłuje robić Dawkins - jest z definicji niemożliwe. Naukowo uzasadniony jest jedynie agnostycyzm. Zarówno wiara jak i ateizm to kwestia wewnętrznych przekonań. Z tego też powodu nie ma żadnego religijnego tabu wśród naukowców. To podobnie jak z cywilizacjami pozaziemskimi. Na razie nie stwierdzono ich istnienia, ale nie stwierdzono też, że istnieć nie mogą. I tyle wiadomo. Ci którzy twierdzą, że cywilizacje te istnieją, lub co gorsza, że mieli z nimi kontakt, kwitowani są takim samym uśmiechem, jak ci, którzy dowodzą, że jesteśmy jedyjni we Wszechświecie. Nauka mówi: nie wiadomo. Więc

tematu się nie podejmuje, bo nie ma sensu. Tak samo z Bogiem. Ale nie ma żadnego tabu.

2) Udowodnienie, że religia jest rzeczą szkodliwą (co robi Dawkins), bo pod jej szyldem i w jej imieniu popełniono wiele zbrodni i czynów haniebnych, nie jest trudne. Ale udowodnienie, że popełniono ich więcej niż w imię i pod szyldem ateizmu już byłoby trudniejsze. Przykład: historycy do dziś nie mogą się doliczyć, kto wytlukł więcej milionów: uduchowiony Hitler do spółki z boskim Hirohito i katolickimi dyktatorami Ameryki Łacińskiej, czy ateistyczni, postępowi i walczący z ciemnotą Włodzimierz, Józef, Mao, Kim, Pol-Pot i im podobni. Wiele wskazuje na to, że w liczbach bezwzględnych wygrywają ci drudzy.

3) Starotestamentowa brutalność, której dziwi się Dawkins, jest adekwatna do mentalności ówczesnych ludzi. Potem chrześcijaństwo ją zakwestionowało i powiedziało wyraźnie: czasy się zmieniają, teraz trzeba inaczej. Dawniej obowiązywał kodeks Hammurabiego, który przewidywał, że w odwecie za wybicie zęba, można wybić tylko jednego a nie wszystkie. Rzymianie znali już prawa człowieka i obywatela, ale nie dotyczyły one niewolników. Teraz w zlaicyzowanej przeciw Norwegii Breivikowi, który zastrzelił z zimną krwią kilkadziesiąt osób oferuje się leczenie zamiast kulki w łeb. Nie oceniam w tym miejscu czy to dobrze, czy źle. Stwierdzam tylko, że mentalność się zmienia i chrześcijaństwo jako chyba jedyna religia to odnotowało. Stary i Nowy Testament są tego odzwierciedleniem.

4) Dowiedziono naukowo, że nie jest możliwe, aby cały gatunek pochodził od dwojga osobników. Ale stawianie kwestii ojcostwa Adama i Ewy jako dowodu na bzdurność Biblii to taki niegroźny postrzał w stopę ze strony Dawkinsa i recenzującej go Wołk-Łaniewskiej. Biblia wyraźnie mówi, że Kain, ich syn (Adama i Ewy - nie Dawkinsa i Wołk-Łaniewskiej), poszedł w

świat i znalazł sobie żonę. Prawosławni nazywają ludzi żyjących przed Adamem i Ewą preadamitami. Wniosek: jak coś się krytykuje, to trzeba to jeszcze znać.

5) To prawda, że - jak twierdzi Dawkins - w religii jest wiele rzeczy niejasnych, niezrozumiałych, czasem nielogicznych. Wiele rzeczy jest też kwestią interpretacji. Ale podobnie jest w nauce, gdzie te same fakty i dane mają różne interpretacje. Wielu też rzeczy nauka wyjaśnić nie potrafi. Przykład: Jesteśmy ssakami naczelnymi. Mamy 98% genów wspólnych z szympanсами. Nie ma większych problemów z prześledzeniem naszej biologicznej ewolucji. Brak pośrednich ogniw pojawia się natomiast w kwestii inteligencji. Trudno jest teorią ewolucji, a zwłaszcza owymi 2% różnicy, uzasadnić ogromny przeskok pomiędzy inteligencją szympansa a ludzką. To samo dotyczy języka. Zwierzęta porozumiewają się sygnałami biologicznymi. Człowiek też, o czym czasem sam nie wie (wszystkie te mowy ciała itp.) i jest to uzasadnione ewolucyjnie. Nie ma natomiast w znanej nam ewolucji ogniw pośredniego pomiędzy tymi sygnałami a językiem werbalnym jakim porozumiewają się ludzie. Można (choć nie trzeba) z tego wysnuć wniosek, że inteligencja i język są jakby spoza ewolucji. Nie twierdzę, że tak jest. Twierdzę tylko, że może tak być i nauka też nie potrafi tego przekonująco wytłumaczyć.

6) Jedną z głównych tez ateizmu (i Dawkinsa) brzmi: Człowiek stworzył Boga. Bóg jest produktem ludzkiej wyobraźni. Ta teza jest jak najbardziej prawdziwa. Człowiek stworzył pewien wizerunek Boga - taki, jaki odpowiadał jego potrzebom psychologicznym. Wizerunek niedokładny, bardzo uproszczony, czasem wewnętrznie sprzeczny (na przykład Bóg miłosierny i sprawiedliwy - czyli miłosierny dla mnie, a sprawiedliwy dla pozostałych?). Tego łatwo dowieść. Ale to stale nie jest dowód na nieistnienie Boga. Przykład: nie ulega wątpliwości, że gruby

pajac w czerwonej czapce na latających saniach jest produktem ludzkiej wyobraźni. Ale nie jest to dowód, że prawdziwy Święty Mikołaj, biskup Miry z IV wieku naszej ery nie istniał. Przeciwnie, rzekomy mieszkaniec Laponii zachował niektóre cechy historycznego Świętego. Nie znamy tak naprawdę innych ludzi, instytucji, państw, narodów ani żadnych innych bytów. Znamy tylko swoje wyobrażenia o nich, które są produktem naszych umysłów. Te wyobrażenia są tym bliższe prawdy im bliższy kontakt mamy z danym bytem. Ale zawsze są trochę mylne. Obecnie większość ludzi nie ma bliskiego kontaktu z Bogiem, więc i jego wizerunek może być mocno skrzywiony. Ja w każdym razie nie spodziewam się zobaczyć po śmierci siwego starca siedzącego na chmurce ze świecącym trójkąciem nad głową.

Jeszcze raz podkreślam: nie chcę tym „listem pasterskim” nikogo nawracać. Chcę tylko zwrócić uwagę na kilka szczegółów.

Dawid Sulej Rudnicki.



Z przedstawionych nam problemów

JAK ODNOWIĆ OBRAZ MSZY ŚWIĘTEJ?

W zeszycie 63. „Pracy”, w dyskusji o wcześniejszym liście czytelniczki, która się określiła jako wierząca, ale nie widząca potrzeby przystępowania do sakramentów, ani uczestnictwa w nabożeństwach, brat Seweryn Habdank-Wojewódzki przedstawił swoje rozważania, stwierdzające, że stanowisko naszej korespondentki nie jest wyjątkowe, że coraz więcej ludzi - bynajmniej nie ateistów - nie widzi

sensu uczestnictwa w nabożeństwach. Kościoły wszystkich wyznań się wyludniają, zwłaszcza zagranicą, ale ostatnio i w Polsce. Ludzie powiadają, że w kościele się nudzą. Zastanawia się więc, czy nie należałoby uczynić obraz Mszy Świętej (o innych nabożeństwach nie wspomina) bardziej interesujący, zaciekawiający, zwracający uwagę. Na tę wypowiedź w ostatnim, lutowym zeszycie „Pracy” brat kapłan Antoni z Francji odpowiedział, że liturgia mszalna w historycznych formach różnych obrządków jest święta z samej istoty i nie wymaga zmian. Potrzeba tylko, aby ludzie chcieli ją przeżyć. Porównał człowieka do butelki, a Mszę Świętą do źródła wody. Najpiękniejsza butelka zanurzona w źródle nie napelni się kryniczną wodą, gdy jest zakorkowana. Pozostaje więc tylko problem jak skłonić oporną „butelkę”, żeby się chciała odkorkować.

Bratu Antoniemu przyznaję słuszność. Od wielu lat obserwuję próby uatrakcyjnieniu nabożeństw w różnych chrześcijańskich wyznaniach i widzę, że w rezultacie powodują one jedynie odsakralnienie świętych obrzędów.

Byłem na uroczystej, świątecznej Mszy Świętej w jednej z rzymskokatolickich parafii w Szwajcarii. Parafia imponowała nowym, pięknym, wielkim kościołem mogącym pomieścić jej tysiące członków. Pierwszą część obrzędu mszalnego uczyniono jak najbardziej strojną - barwy, muzyka... Szczególną wagę przyłożono do Ewangelii. Zamiast jej odczytania amatorski zespół teatralny odegrał scenę z właściwej perykopy o rozmowie Chrystusa z tłumem. Rolę Chrystusa z powagą grał jeden z księży. Kilku starszych parafian z niesmakiem opuściło kościół nie czekając na dalszy ciąg. Od ofiarowania odprawiano już „zwyczajnie”. Z niewielkiej liczby około stu obecnych zaledwie kilkoro przystąpiło do Komunii Świętej. Wychodzący ludzie dyskutowali o grze aktorów. Ja się

również czułem jak po - nawet nie złym, ale przecież amatorskim - przedstawieniu.

W tej samej Szwajcarii w innym kantonie biorę udział w głównym, niedzielnym nabożeństwie ewangelicko-reformowanym (zwingliańskim). Jest wiosna. Są czytania biblijne, jest kazanie (w miejscowym dialekcie!). Dorosłych mało. Głównymi uczestnikami są dzieci. Śpiewają pięknie na głosy (!), deklamują wierszyki o Panu Jezusie. Rzeczywiście jest to piękna „akademia ku czci Jezusa Chrystusa”, ale *sacrum* nie zauważyłem. Tak, tu się dzieci nie nudziły. Może potem, gdy dorosną przyślą swoje dzieci? Czy celem nabożeństwa jest nie nudzić się?

Stany Zjednoczone. Stan Illinois. Na kościele, rzymskokatolickim plakat, że w niedzielę po wieczornej Mszy Świętej będzie gra w bingo. Spotykam przed kościołem jegomościa w koloratce. Tak, to proboszcz. Wyjaśniam, że jestem zza oceanu i nie znam tutejszych zwyczajów. Tłumaczy mi, że teraz, kiedy często organizuje bingo, ma lepszą frekwencję, przychodzą na nie nawet i niekatolicy, a przy okazji przedtem są na Mszy Świętej, bo chytrze nie ustala sztywnej godziny początku binga. To dobra metoda. Pytam jeszcze czy bingo jest w samym kościele czy w jakiejś sali obok. Okazuje się, że tradycyjne wewnątrz kościoła świetnie się nadaje do binga.

Kalifornia. Tu Kościół Metodystów zaprasza wszystkich potrzebujących - nie zależnie od koloru skóry - na bezpłatny obiad (Dinner) i to bez żadnych skierowań ani zaświadczeń. Obiady są po godzinnym nabożeństwie, a z początkiem nabożeństwa zamyka się drzwi. Jedzenie jest zdrowe i pożywne, a podobno po wielokrotnym wysłuchaniu codziennych kazań, niektórzy uczestnicy się nawracają.

Zresztą, po co tu podglądać zagranicę. Polskie organizacje zakonne, a także niektóre parafie, organizują

pielgrzymki do świętych miejsc lub śladami świętych ludzi. Zwyczaj odwieczny. Czy ktoś śmiałyby krytykować sens pielgrzymek? Może tylko dziwić, że pewna pielgrzymka odbyła się śladami świętego Olafa, po którym właśnie żadnych śladów nie zostało (nawet relikwie ukradziono, i gdzieś zgubiono). Natomiast pielgrzymka dotarła dalej niż ów święty, bo poza koło polarne, zwiedziła lodowce, piękne, skaliste fiordy, a nawet kwaterę „świętego Mikołaja” i niektórzy uczestnicy za niewielką kwotę mogli sobie z nim zrobić pamiątkowe zdjęcia. Inną pielgrzymkę zorganizowano do Maroka, dokąd ongiś wędrowali i budowali kościoły nie tyle święci mężowie, ile raczej uzbrojeni kolonizatorzy. Ale pielgrzymi mieli okazję obejrzeć taniec brzucha i piękne miejscowe zabytki muzułmańskiej architektury, oraz przejechać się na wielbłądach.

Nie, nie jestem przeciwny tego rodzaju wysiłkom. Życie człowieka, to nie tylko nabożeństwa. Kościoły są również instytucjami społecznymi i mają prawo organizować całe życie swoich członków, ale jeśli w usiłowaniach tych organizacji działania sakralne są usuwane z najważniejszego miejsca, kościoły przestają być kościołami

W Niemczech coraz więcej chrześcijan pamięta słowa Chrystusa, że zbawienie jest nie za samą teoretyczną wiarę, ale za płynące z niej uczynki miłosierdzia. Więc jeśli kościoły - wyręczając ich - organizują akcje charytatywne, to ludzie chętnie płacą podatki kościelne, co jest mniej kłopotliwe niż szukanie okazji do indywidualnych dobrych uczynków. Że kościoły są tam postrzegane przede wszystkim jako instytucje społeczne przekonałem się jako opiekun grupy z Krakowa na międzynarodowym spotkaniu w młodzieżowym ośrodku Werbelinsee niedaleko Berlina. Było to świetnie

zorganizowane spotkanie integrujące w rodzącej się wówczas wielonarodowej Unii Europejskiej. Tylko w niedzielę nie było ani czasu, ani lokomocji aby być na nabożeństwie jakiegokolwiek wyznania chrześcijańskiego. Nasza młodzież się dziwiła, bo spotkanie organizowała pewna jednostka ekumeniczna. A chrześcijańscy organizatorzy się dziwili, że polska młodzież jest tak dewocyjna, że w niedzielę chciałyby być na nabożeństwie.

Z moich przytoczonych tu i licznych innych obserwacji staram się wyciągnąć ogólne wnioski. Kościoły dbające przede wszystkim o to, aby się wierni nie nudzili, muszą to robić na wysokim poziomie - inaczej raczej odstraszą wiernych mających tyle innych możliwości rozrywki. Ponadto zyskując w ten sposób członków nie mają możliwości istotnego ich prowadzenia do rozwoju duchowego. To już raczej dobra świecka powieść, sztuka teatralna film potrafi wewnątrznie rozwinąć człowieka, niż hybryda sakralno-rozrywkowa. Wyobrażam sobie jaki entuzjazm i frekwencję osiągnęłoby wyznanie, które potrafiłoby zlać w jedną całość główne swoje nabożeństwo z meczem piłki nożnej rozgrywanym przez znakomite drużyny. Tylko, co to dawałoby wiernym? Takie metody mogą ułatwić zapomnienie faktu, że butelka jest pusta, ale nie ułatwią odkorkowania butelki.

Z kolei obrzędy głęboko duchowe, jakimi są mszalna liturgia bizantyjska, obrzęd uświęcenia człowieka Wspólnoty Chrześcijan lub trydencki rytuał mszalny, dla właściwego przeżycia, do skorzystania z tego, co niosą, wymagają pewnego uprzedniego przygotowania, otwarcia duchowego - „odkorkowania butelki”. Niektórzy ludzie nie potrafią się otworzyć. Biedni. Tracą, ale cóż zrobić.

W świecie, również w Europie liczni ludzie przyjmują islam. To stosunkowo łatwe. Oprócz kilku, podstawowych zasad moralnych trzeba wypełniać

przepisane obrzędy. Więcej się nie musi. Jeśli ktoś koniecznie chce, to może zostać derwiszem, przyłączyć się do sufich, ale od normalnego wiernego tego się nie wymaga. A chrześcijaństwo wymaga stałego rozwoju wewnętrznego, ściągania Ducha Świętego, jak mówią prawosławni, coraz silniejszego współzycia z Chrystusem, jak mówią zachodni katolicy. Żyjemy w czasie, gdy się już rozpoczyna zapowiadany w Apokalipsie podział na „dobrych” i „złych”. Jeszcze ten podział przebiega wewnątrz każdego z nas. Jeszcze większość ludzi jest nijakich, ale już jest i coraz więcej stojących zdecydowanie przy Chrystusie i zdecydowanie mu wrogich. Obecnie tylko dobrym przykładem możemy zachęcić do uznania Jego za swego mistrza.

Ważne też jest, żebyśmy wyjaśniali ludziom religijne uprzedzenia. Ileż na przykład ludzi sądzi, że istnieje jakiś „karny kodeks” Boży, i że właśnie formalne przekroczenie go jest grzechem. Tłumaczmy, że grzech, to jest spowodowanie czyjejś krzywdy, a różne „kodeksy” grzechów układane przez kościoły są tylko pomocą w rachunku sumienia. Usuwajmy też inne nieporozumienia.

Oprócz najświętszych obrzędów liturgicznych, które reformować mogą tylko ci, co mają otwarty wzrok duchowy, istnieją nabożeństwa paraliturgiczne. Niech ci, którym udział w *sacrum* utrudnia konieczność aktywnego jedynie duchowo, a zewnętrze biernego udziału we Mszy Świętej, nie wstydzą się kształtować w małych grupach wspólnych adoracji Przenajświętszego Sakramentu. Tu dowolność pieśni i tekstów modlitewnych jest zupełna, aby dotyczyły uwielbienia Chrystusa Eucharystycznego. Takie czynne kształtowanie adoracji i innych nabożeństw paraliturgicznych może być dobrym przygotowaniem do „odkorkowania butelki”.

Nie znam innych metod. Jeśli ktoś zna, niech napisze.

brat Paweł



JAK WIERZYĆ ?

W tym jubileuszowym roku Mateczki, gdy myślimy o Dziele Bożym, które ona przyniosła światu, nie sposób nie zastanowić się nad tym, że uświadomiła nam ona iż bez nawrócenia się do Boga, bez zdobycia prawdziwej wiary świat nie będzie mógł uniknąć wielkiej katastrofy. A wiara religijna wydaje się czasem dziś wątpliwa i bezsilna wobec sukcesów współczesnej nauki. Na ten właśnie temat wygłosiłem przed przeszło trzydziestu laty naukę w anglikańskim kościele świętego Dunstena w teksańskim mieście Houston, której polskie tłumaczeniu pozwalam sobie tu zamieścić.

Słowa Ewangelii świętego Jana (20:29) *„Błogosławieni, którzy nie widzieli, a uwierzyli”* mają wiele znaczeń na różnych poziomach zrozumienia. Jedno z całkiem słusznym, choć prostym interpretacji mówi nam, abyśmy nie oczekiwali cudów, które nas dopiero miałyby doprowadzić do wiary - temat znany również z innych miejsc Pisma Świętego. A przecież uwierzyć, przecież być wyznawcą wiary chrześcijańskiej, to znaczy mieć wiarę, o której Jezus Chrystus mówi (Mateusz 17:19). *„Jeśli będziecie mieć wiarę jak ziarno gorczyczne, rzeczenie tej górze przejdź stąd tam, a przejdzie, - i nic nie będzie dla was niemożliwego”*. Wierzyć, to znaczy więcej niż po prostu uznać rozumem jakąś religijną prawdę. Raczej znaczy to uczyń z religijnej prawdy treść swego życia.

Są ludzie sądzący, że główną różnicą między nauką i religią, między „wiedzieć” a „wierzyć” jest to, że pierwsza opiera się na obserwacji i eksperymencie oraz logicznym myśleniu, zaś druga jest po prostu uwierzeniem w coś bez dowodu.

Owszem, jeśli z jednej strony uznajemy tylko obserwacje dokonane naszymi fizycznymi zmysłami, jeśli dopuszczamy tylko eksperymenty dotyczące świata fizycznego, a z drugiej strony nie dopuszczamy pracy rozumowej w dziedzinie religii, to te dwie dziedziny są ze sobą nie tylko różne, ale sprzeczne.

Być może wiecie, że nie jestem tylko kapłanem, ale również naukowcem; kapłanem Kościoła Mariawitów i profesorem Uniwersytetu Jagiellońskiego. Jeden z moich kolegów powiedział kiedyś, że to musi być dla mnie trudne: uprawianie astronomii a zarazem akceptowanie poglądów religijnych, a tym bardziej wygłaszanie kazań. Nie miał racji.

Wybaczcie, że zamiast poważnej homilii, opowiem wam dziś coś z mojej drogi do kapłaństwa.

Wychowywany byłem w całkowicie ateistycznej rodzinie. Chrześcijaństwo uważałem przez długi czas za nonsensowne. Widziałem w nim zbiór infantylnych bajeczek, głupich kościelnych zasad i jeszcze bezsensowniejszych rytuałów.

Byłem już po doktoracie z astronomii, gdy dokonałem prostego odkrycia, że postrzegam nie tylko fenomeny fizyczne, ale również moje uczucia, moje wspomnienia, akty woli, a nawet własne myśli. Postrzegam je, mogę je obserwować, mogę je opisać. Nie mam podstaw aby powiedzieć, że wszystko, co obserwuję wewnętrznymi zmysłami jest mniej rzeczywiste od postrzeganego zmysłami zewnętrznymi. To był mój pierwszy krok.

Pamiętam, też wieczór, bardzo ważny dla mego rozwoju, gdy nie mogąc zasnąć postanowiłem nakreślić sobie dowód, że chrześcijańska wiara jest absurdalna. Wziąłem tekst Składu Apostolskiego i zacząłem szukać argumentów przeciw poszczególnym frazom. „Wierzę w Boga”. Boga? - nonsens. Ale dlaczego? Szukałem długo argumentów. Nie znalazłem żadnego. No tak, nie wiadomo co konkretnie znaczy „Bóg”. Idźmy dalej „Ojca wszechmogącego”. Słowo „Ojca”? - nonsens. Ale dlaczego? Znowu zabrakło logicznego argumentu. W ten sposób przemyślałem cały Skład Apostolski, a nie znalazłem żadnego, empirycznego, doświadczalnego, ani logicznego argumentu przeciw wierze chrześcijańskiej. Przystałem być ateistą. Stałem się agnostykiem. To był mój drugi krok do chrześcijaństwa. Nie będę opisywał wszystkich następnych kroków. To byłoby nudne. Przejdę od razu do dużo późniejszego przeżycia.

Pewnego dnia, gdy byłem już członkiem Kościoła, zwróciłem uwagę, że ilekroć właściwie się przygotuję do przyjęcia Komunii, doznaje po jej przyjęciu dziwnego, głębokiego pokoju w moim wnętrzu. Jest to jakiś święty pokój. Wszystkie najprawdziwsze kłopoty stają się nie ważne, choć bynajmniej nie ogarnia mnie marazm. Przeciwnie czuję się pełen wewnętrznej energii. Pomyślałem sobie (jako naukowiec zawsze lubię szukać ukrytych przyczyn), że być może jest to jakaś sugestia, autosugestia, obrzędowa sugestia zbiorowa, a może jakieś zjawisko hipnotyczne? Ale zaraz pojawiła się następna myśl. Wszelkie wysiłki w krajach komunistycznych, aby otrzymać podobne rezultaty przez rytuały laickie, wysiłki tak wielu materialistycznych psychologów, aby wywołać podobne efekty bez Boga, dają bardzo mizerne rezultaty. A w świecie, w każdą niedzielę miliony wierzących doznają takich błogostawionych skutków korzystając ze sposobu danego przez Chrystusa, Czyż to nie jest doświadczalny, eksperymentalny dowód na realność wiary chrześcijańskiej?

Innym razem zauważyłem, że w naukach ścisłych czasem rzeczy nieprawdziwe bywają „przyjmowane na wiarę”. Pewien profesor - nazwijmy go A - powiedział, że obiekt oznaczony numerem powiedzmy HD 878 może być nowo uformowaną gwiazdą. Następnie doktor B napisał, że zdaniem profesora A obiekt HD 878 jest nowo uformowaną gwiazdą. Badacz C oświadczył wtedy, że, jak to przyjmuje wielu, gwiazda HD 878 jest niedawno uformowana. Zaś kilka lat później w monografii profesora D można było przeczytać, że jest znanym faktem, że gwiazda HD 878 jest bardzo młoda. A zrobił tylko przypuszczenie, a już D bez dalszych dowodów uznał to za znany fakt. Takie rzeczy zdarzają się wcale nie tak rzadko w nauce. A zarazem pewne dobrze stwierdzone fakty bywają nieuznawane, bo nie pasują do obiegowych paradygmatów.

Bynajmniej nie oskarżam całej nauki, że jest błędna, a tym bardziej wszystkich naukowców, że nie są uczciwi. Jestem jednym z nich i nie tylko przez lojalność względem kolegów stwierdzam, że więcej jest uczciwych i logicznych naukowców niż lekkomyślnych fantastów. Ale my, ludzie nauki wiemy, że nasza wiedza jest znacznie bardziej ograniczona niż to sobie wyobrażają czytelnicy popularnonaukowej literatury, gdzie wszystko jest wiadome i proste.

Jako student miałem możliwość dokonania w pracowni fizycznej kilku niezbyt skomplikowanych doświadczeń elektrycznych. Ale wierzę, że inni przeprowadzali znacznie bardziej skomplikowane doświadczenia, które im umożliwiły stworzenie współczesnych wielkich fizycznych teorii dotyczących elektryczności.

Podobnie jako członek chrześcijańskiego kościoła, miałem pewne realne, choć proste przeżycia religijne. I wierzę, że inni doświadczyli znacznie więcej, że na przykład przeżycia świętego Jana były niezmiernie głębokie tak, że pozwoliły mu na napisanie Apokalipsy.

W nauce nazywamy to eksperymentami, doświadczeniami lub obserwacjami. W religii - przeżyciami, obserwacjami pozazmysłowymi, objawieniami. Ale w obu dziedzinach każdy jest zdolny postrzegać pewne elementarne fenomeny (fizyczne lub duchowe) i każdy widzi potrzebę wiary w to, że inni mają głębszą wiedzę niż my, że doświadczyli więcej, więc są w stanie formułować większe twierdzenia niż nasze.

Pod tym względem nauki ścisłe i teologia nie różnią się istotnie od siebie. Musimy tylko umieć odróżniać osobistości godne zaufania od fantastów i tym bardziej od oszustów, bo i tacy się zdarzają w obu dziedzinach.

Gdy wierzenia religijne, gdy ludzka wiara stanie się tak silna jak dzisiejsze wierzenia naukowe, wtedy duchowe osiągnięcia ludzkości staną się przynajmniej równie, a zapewne i bardziej ważne, niż osiągnięcia techniczne. A skutki prawdziwej wiary są ważniejsze dla uniknięcia powszechnej, społecznej katastrofy niż wspaniałe wynalazki techniczne.

Gdy mnie mianowano profesorem, wiedziałem już, że zarówno jako astronom, jak i jako kapłan mam robić to samo: starannie obserwować to, co mogę zaobserwować, postrzegać to, co postrzec mogę i wierzyć ludziom godnym zaufania w to, czego sam zaobserwować, postrzec nie mogę. A uważam apostołów, ewangelistów i innych autorów Biblii za nie mniej godnych zaufania niż dzisiejszych laureatów wielkich nagród naukowych. Ponadto wiem, że muszę myśleć logicznie i sam być rzeczowy w moim podejściu zarówno do problemów religijnych jak i naukowych.

Błogosławieni, którzy nie widzieli, a uwierzyli. A wiara góry przenosi.

brat Paweł



DWA AFORYZMY

W samotności ciemność jest ciemniejsza i pustką bardziej pusta. Tylko twoje serce bije ciszej.

Największą zbrodnią jest zabić nadzieję.

Honorata Korpikiewicz



TRYPTYK WIOSENNY

*Niebo jest ich:
klucznicy wiosny
wracają objąć ziemię w posiadanie*

*szpak na czubku świerka
wywodzi estakady z góry na dół
sikorki biorą nas na języki*

*a tu na dole
wieża Babel
niedobudzeni z zimowego snu
dziobiemy bruk*

*na naszych łąkach
wiosenne roztopy
w ogrodach podświadomości
nierozumna pożoga*

*zegar z wdziękiem tłucze godziny
w drobny mak
wiosna!
z zimną krwią
skaczymy przez ognisko*

20.03.2010

*Bywa, ścielę się mgłą
nisko przy ziemi
rozmywa mnie poruszenie
dźwięk przesywa jak ból
światło tumani*

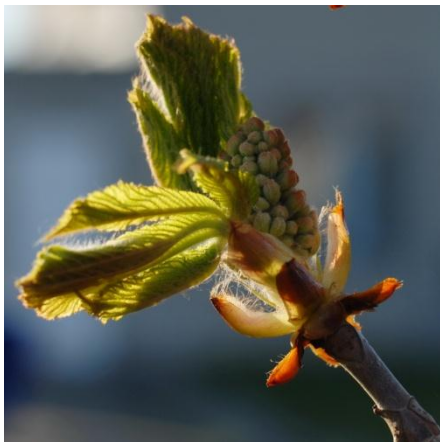
*i nie wiem dokąd iść
na spotkanie życia*

*zdradza mnie świt
porzuca dzień
wieczór wskrzesza powoli
nocą podpływam pod twój próg*

*gawrony naprawiają gniazda
ludzie wokół zapobiegliwi
ptakom podobni
wiosna w miękkim futerku
czyha opodal*

21.03.2011

*Zostaw mi, Boże
odrobinę miejsca w nim
kiedy ożywi strumienie i gwiazdy
ja też chcę zamigotać
kiedy ogarnie ciepłem spojrzenia
szpilki świerków i pąki kasztana
niech obejmie i mnie
poprowadź nas, jak prowadzisz ptaki
ku rozlewiskom
który budzisz brunatne niedźwiedzie
i nas obudź
zapracowanych śmiertelnie*



Inga Trochimowicz



Errata do zeszytu 65.

W artykule St.F. na końcu drugiego akapitu na s.20 zamiast „*Ostatecznie przedwczesna śmierć Kapłana Schustra w roku 1925 zakończyła osobiste kontakty Rudolfa Steinera ze starokatolicyzmem*” powinno być. „*Ostatecznie przedwczesna śmierć Rudolfa Steinera oraz Hugona Shustra w tym samym roku 1925 zakończyły bliskie kontakty,niemieckojęzycznego starokatolicyzmu z antropozofią.*”



Dwa zrozumienia mariawityzmu

Boli nas, że wśród gorliwych uczestników Dzieła Wielkiego Miłosierdzia Bożego, oddających dla jego rozwoju swoją energię, czas i fundusze widzimy różne, nieraz przeciwne sobie opinie o tym, jak zrozumieć powołanie mariawityzmu, w jaki sposób ma mariawityzm służyć Bożemu Dziełu. Uważając, że trzeba wpiery zrozumieć to, co się zamierza krytykować, postanowiłem zrozumieć stanowisko zwolenników różnych poglądów na ten temat. Stało się moim niespodziewanym odkryciem, że najbardziej zrozumiałymi, logicznymi są dwa

diametralnie różne sobie poglądy. A jeszcze dziwniejszym jest odkrycie, że te skrajnie przeciwne poglądy właściwie dobrze się ze sobą w praktyce godzą, że ich zwolennicy w praktycznym działaniu nie przeszkadzają sobie nawzajem. Więcej praktycznych kłopotów jest z poglądami pośrednimi. Ale po kolei.

Aby wszystko było jasne odróżnijmy dwie sprawy: Z jednej strony samo Boże Dzieło Wielkiego Miłosierdzia, akcję Trójcy Świętej, której my się tylko możemy poddać z wiarą, skorzystać zaczerpnąć łask Miłosierdzia, gdzie działa Bóg a nie my. Z drugiej - mariawityzm, sposób, drogę, naszego przygotowania do możliwości przyjęcia tej łaski, oraz wytyczne dla naszej pracy informującej świat (tak, cały świat !) o istnieniu tego dzieła. Miłosierdzie Boże jest dawane za darmo, ale pod warunkiem, że chcemy je przyjąć, czego wyrazem jest nasza prośba o nie. Jak nie można być zbawionym wbrew własnej woli, tak nie można przyjąć Miłosierdzia, gdy się o nie świadomie nie prosi. A prosić mamy nie tylko Boga w swojej osobistej sprawie. Mamy prosić innych, aby zrozumieli, że i oni powinni prosić. Prosić ich, aby prosili dla siebie i przekazywali dalej wieść. Przyjęcie Miłosierdzia Bożego jest sprawą społeczną. „Jeśli będzie wystarczająca liczba błagających...”. Powstaje pytanie, jak formować swoje życie, aby nasze prośby nie były tylko formalnością. Bóg odróżnia formalne zabiegi od płynących z rzeczywistych chęci, z serca.

Ponieważ od początku mariawityzm wskazywał na konieczność uporządkowania, doprowadzenia do ładu życia kościelnego, więc większość dawnego

duchowieństwa mariawickiego, pod którym tu rozumiem zarówno członków Zgromadzenia Kapłanów Mariawitów, jak i podlegających im siostry i braci służebnych (ci ostatni pojawili się nieco później), uważali za stosowne poddać się najdokładniej i najuczciwiej ustalonym przepisom ówczesnego Kościoła Rzymskiego dotyczącym życia konsekrowanego, jakie istniały w końcu wieku XIX. Należały do tego nie tylko takie podstawowe zasady jak celibat, surowe posty, bezwzględne posłuszeństwo przełożonym, ale i noszenie włosienic, biczowania i inne sztuczne umartwienia. Dalsze objawienia Dzieła Bożego (rok 1918) zabroniły stosowania wszelkich sztucznych umartwień. Zaprzeszono ich więc. Natomiast nie patrzono przychylnie na wprowadzane kolejno w wieku XX przepisy Kościoła Rzymskokatolickiego łagodzące zasady postne i inne, To znaczy przyjęto niektóre z nich chwilowo, ale po rozłamie roku 1935 zaniechano ich lub przynajmniej usiłowano zaniechać. Mówiono: co się dzieje w starym Kościele nas nie obchodzi, niech ich Pan Bóg sędzi; my prawdziwi katolicy-mariawici - oprócz zmienionego wyraźnie przez Objawienie - trzymamy się błogostawionej tradycji. Zwolennikami takiego poglądu byli na przykład bracia i siostry skupieni ongiś wokół osoby brata biskupa M. Jakuba Próchniewskiego. Dziś w Polsce i we Francji znajdują raczej nieliczne osoby tak rozumiejące zakonność mariawicką.

Trzeba sobie powiedzieć. Nie jest to jedyne możliwe ustosunkowanie się do wytycznych otrzymanych przez Mateczkę w objawieniach dla mariawitów. Ale ludzie umiejący takie zasady nie tylko „wyznawać”, ale i realnie stosować w życiu, potrafią znakomicie szerzyć wieść o Dziale Wielkiego Miłosierdzia. A już zupełnie nie da się im postawić zarzutu, że w czymkolwiek szkodzą Działu Bożemu.

Postarajmy się zrozumieć i przeciwne poglądy. Ostatnie zapisane przez Mateczkę Objawienie mówi wyraźnie, że *„Zniesione są wszystkie pokuty, tylko można zalecać modlitwy i poprawę duszy”* (Notatki z roku jubileuszowego, akapit 28).

Nie ma wśród mariawitów wątpliwości co do tego, że słowa „pokuta” użyto tu nie w biblijnym sensie „μετανοια” (metanoja), lecz w obiegowym ongiś znaczeniu „zadawania sobie sztucznych umartwień”. Otóż z przytoczonego tekstu widać, że zalecenie zaniechania umartwień wiąże się ściśle z drugą częścią zalecenia, dbania o modlitwę i poprawę duszy, czyli o wewnętrzną pracę nad sobą samym. Wiele XX-wiecznych prądów duchowych wskazuje, że skupianie uwagi na przeżywanie zadawanych sobie cierpień pochłania energię, której wtedy brakuje na przeżycie znacznie ważniejszych spraw wewnętrznego, duchowego rozwoju człowieka.

Dla mariawitów wiąże się to dodatkowo z zasadą naśladowania życia maryjnego. Czyż Maria, Matka Jezusa praktykowała kiedykolwiek jakieś sztuczne umartwienia? Nie znajdziemy o tym najmniejszej wzmianki ani w Nowym Testamencie, ani w chrześcijańskich czy nawet mużumtańskich legendach maryjnych. Przeciwnie *Protoewangelia* świętego Jakuba i Koran zawierają wersety wskazujące na zewnętrznie spokojne i wygodne ziemskie życie Bogurodzicy. I my naśladowując Ją nie musimy zadawać sobie sztucznych umartwień cielesnych, umiejmy tylko ze spokojem przyjmować te zmartwienia, kłopoty i cierpienia zarówno fizyczne jak duchowe, które należą do naszego losu tak, jak Matka Jezusa przyjmowała bóleści płynące z przeznaczenia Jej i Jej Syna. Żyjmy zwyczajnym życiem zewnętrznym ale tak, żeby z tego życia promieniowały osiągnięcia ducha.

Takimi było grono niektórych braci i siostr, którzy pierwotnie przyjęli „nowości” brata arcybiskupa M. Michała Kowalskiego, żyli w małżeństwach, jadaliby szynkę (jeśli ją mieli) w piątek, a jednocześnie promieniowała od nich wyższa, wspaniała duchowość. Niektórzy z nich ponieśli śmierć męczeńską. Dziś takich mariawitów nie jest wiele, ale można ich spotkać zarówno w Polsce jak i w krajach zachodnich. Należy do nich brat Paweł, który wydaje się - jak z jego

artykułów wynika - że traktuje to jako jedyną słuszną drogę mariawicką.

Ludzie, którzy umieją tak korzystać z dobrodziejstw zwykłego trybu życia, że nie tylko nie tłumi w nich ono rozwoju ducha, ale ten rozwój w widoczny sposób promieniuje z nich, którzy umieją nowe zasady życia mariawickiego nie tylko „wyznawać”, ale i realnie stosować w życiu, potrafią znakomicie szerzyć wieść o Dziele Wielkiego Miłosierdzia. A już zupełnie nie da się im postawić zarzutu, że w czymkolwiek szkodzą Dziełu Bożemu.

Staram się zrozumieć i tych, którzy są lub uważają się za będących mariawickimi osobami zakonnymi, którzy żywią pogląd, że XIX wieczne rzymskokatolickie zwyczaje ascetyczne nie tylko są trudne do zachowania, ale i niepotrzebne, którzy przyjęli pierwszą część zacytowanego zdania o zniesieniu umartwień, ale nie zamierzają realnie stosować się do drugiej, a więc zaniedbują nie tylko adorację, i odmawianie brewiarza ale nawet zwykłego, rannego i wieczornego pacierza, a już zupełnie zapomnieli, że istnieją jakieś ćwiczenia duchowe. Tych, którzy się uważają za uczestników Dzieła Miłosierdzia, ale nie umieją nawet jasno określić, czym się wyróżnia mariawityzm wśród całości chrześcijaństwa. Staram się ich zrozumieć i zaczynam pojmować, że nie są to ludzie źli, ale duchowo ślepi. Jeśli żyją wśród drobnych spraw parafialnych, osobistych i rodzinnych, wtedy nikomu nie szkodzą. Gorzej jeśli występują na zewnątrz jako przedstawiciele mariawityzmu. Wtedy ośmieszają Dzieło Boże. Lepiej by było, aby po prostu byli zwykłymi chrześcijanami zachowującymi w życiu 10 Przykazań Bożych i ufającymi, że Miłościwy Pan Bóg jakoś ich do nieba przyjmie. Ja też o możliwości ich zbawienia nie wątpię. Tylko niech lepiej nie reprezentują mariawityzmu na zewnątrz, bo wtedy szkodzą.

Najtrudniej mi zrozumieć tych, co tylko udają, że idą drogą dawnej ascezy, oraz tych, którzy udają albo wmawiają

w siebie, że zrozumieli „nowości” arcybiskupa Michała i „stosują je” dla zadowolenia swoich prymitywnych zachcianek i popędów. Wszelka nieuczciwość, wszelkie zaktamianie wobec innych lub siebie samego druzgoce sprawy duchowe.

Piszę to, żeby zachęcić prawdziwych mariawitów do realnej, wzajemnej współpracy. Czujący powołanie do XIX-wiecznej zakonności, i potrafiący ją rzeczywiście praktykować, praz ich zwolennicy, niech nie gardzą tymi, którzy nie dbają o zewnętrzne praktyki, ale praktykują wewnętrzne ćwiczenia rozwoju duchowego. Praktykujący taki rozwój i ich zwolennicy niech się nie uchylają od współpracy z mariawitami surowych praktyk ascetycznych. Zaś jedni i drudzy, niech nie pogardzają tymi, zarówno duchowymi, jak i świeckimi, którzy się za mariawitów uważają, choć nie wiedzą i nie starają się dowiedzieć, co to jest mariawityzm. Ewangelia mówi „*kto nie jest przeciwko wam za wami jest*” (Lukas 9:50). Zaś ci mariawici, którzy nie widzą sami potrzeby wyższego rozwoju jakąkolwiek metodą, niech nie wysmiewają tych, którym nie wystarcza być „szanowanym” księdzem, „godną czci” zakonnica, lub „pocziwym” człowiekiem, którzy dążą do czegoś więcej. W pierwotnym mariawityzmie wszyscy, nie tylko duchowieństwo, dążyli do czegoś więcej.

Spory o to jaka jest najlepsza droga mariawicka rozdrobniły mariawityzm, obezwładniły go. Nie szukajmy winnych. To robota bezcelowa. Mniej polegajmy na dyskusji, na - tak modnym dziś w ekumenizmie - dialogu, a przyłóżmy wagę do praktycznej współpracy ze wszystkimi mariawitami dobrej woli. W roku wielkiego jubileuszu Mateczki postanówmy, że zaniechamy sporów pomiędzy mariawickimi denominacjami, oraz sporów wewnątrz tych denominacji, że nie tylko pozwolimy wszystkim pracować tak, jak im Duch Święty w ich indywidualnym powołaniu nakazuje, ale w miarę umiejętności i możliwości będziemy wspomagać jedni drugich w pozytywnym działaniu.

brat Teodomir

ZAWARTOŚĆ ZESZYTU

- brat Paweł – **150-lecie urodzin Mateczki** – s. 1
St.F. - **Jntronizacja Pana Jezusa na tronie polskim** - s. 7
Dawid Sulej Rudnicki - „**Naukowy dowód**” **nieistnienia Boga** - s.11
brat Paweł - **Jak wierzyć** - s. 20
Honorata Korpikiewicz – **Dwa aforyzmy** – s. 24
Inga Trochimowicz - **Tryptyk wiosenny** - s. 24
brat Teodomir - **Dwa zrozumienia mariawityzmu** - s.26
Z PRZEDSTAWIONYCH NAM PROBLEMÓW:
brat Paweł - **Jak odnowić obraz Mszy Świętej** - s. 14

ERRATA

go Zeszytu 65 - s. 26

PRACA nad sobą – aperiodyk mariawicki. Dostępny tylko w prenumeracie. oraz na stronie internetowej www.praca-nad-soba.waw.pl Ukazuje się nieregularnie w miarę napływu materiałów. Dla Zgromadzenia Mariawitów wydaje F.H.U. ELWIT w Krakowie. Redaguje kolegium. Redaktor wykonawczy tego zeszytu: Konrad M. Paweł Rudnicki. Adresy redakcji i administracji: ul. Św. Sebastiana 10 m. 14 – 31-049 Kraków; redakcja@praca-nad-soba.waw.pl oraz redaktorpracy@interia.pl . Za treść artykułów odpowiadają autorzy; nie musi ona odzwierciedlać przekonań redakcji. Krajowa prenumerata redakcyjna, obejmująca dowolne cztery kolejne zeszyty – 20 zł. Należność należy przysyłać pod adresem redakcji *wyłącznie* listem w postaci drobnych znaczków pocztowych (o nominale nie większym niż 1,55 zł) podając dokładny adres nadawcy, Można też prenumeratę opłacić osobiście w redakcji. Wysokość prenumeraty zagranicznej za 4 kolejne zeszyty pocztą zwykłą wynosi – 10 euro; pocztą priorytetową (lotniczą) w obrębie Europy – 12 euro, poza Europą – 25 dolarów USA, lub ich równowartość. Wpłaty z zagranicy należy przysyłać międzynarodowym przekazem pod adresem redakcji. Podana tu wysokość prenumeraty obowiązuje w ciągu czterech miesięcy od miesiąca ukazania się tego zeszytu i może potem ulec zmianie w miarę wzrostu cen papieru, druku, kursów walut lub opłat pocztowych. Osoby, które opłaciły już wcześniej prenumeratę, otrzymają jednak opłacone przez siebie zeszyty bez

dopłaty. Dla uniknięcia nieporozumień osoby zamawiające „Pracę nad sobą” po raz pierwszy, zechcą zaznaczyć od którego zeszytu mamy rozpocząć wysyłkę
